

## WENECKIE WYROBY SKÓRZANE

„Naokoło Świata”,  
nr 29 z 1926 roku

Republika św. Marka odziedziczyła sekrety wyłaczania i barwienia skór po mistrzach mauretańskich z Hiszpanii. Gdy znikły tak cenione w średniowieczu wyroby kurdybańskie, zajaśniał przepych towarów weneckich, nieporównanych pod względem wykończenia, bogactwa rysunku i zachwycającej gry barw. Dziś, choć wiele wieków minęło, spotykamy często motywy zdobnicze, przypominające najpiękniejsze arabeski z czasów rozkwitu sztuki zdobniczej na dworach kalifów hiszpańskich.

Turysta, oglądający wystawy sklepowe w Wenecji, ulega wprost oszołomieniu. W oczach się mieni od tysięcy arcydziełek, sprzedawanych po śmiesznie niskiej cenie. Za kilka lirów można dostać portmonetkę, za kilkanaście – papierośnicę z prześlicznie wyciśniętym godłem Wenery prawdziwym złotem, na tle koloru dojrzałej wiśni. Jest to *article courant*, chętnie nabywany przez obcych przybyszów i dla nich robiony.

Przeoglądając cenniki, znajdujemy towary coraz droższe. Mała puderniczka kieszonkowa – pięćdziesiąt lirów. I tak dalej, aż do tysiąca, nawet wyżej.

A są i takie egzemplarze, o których cennik milczy. Kupiec, jeżeli go zagadnąć o cenę, poważnieje i zaczyna długą opowieść o nowoczesnej pracy, jakiej wymagało przygotowanie tego arcydzieła. Do porozumienia dojść trudno. Najlepiej zrobi ten, kto uda się do pierwszego źródła, to jest do fabrykanta, co w Wenecji zupełnie uchodzi.

Bardzo uprzejmym jegomościami, a jednocześnie prawdziwym artystą jest p. Arturo Pellegrini, właściciel wytwórni skór tłoczonych tuż przy kościele San-Marcuola. Dojazd łatwy, gondolą lub vaporetką<sup>1</sup>, kilka kroków od przystani.

Firma egzystuje bez przerwy od roku 1759, a p. Pellegrini jest już szóstym z rzędu potomkiem piastującym godność dyrektora.

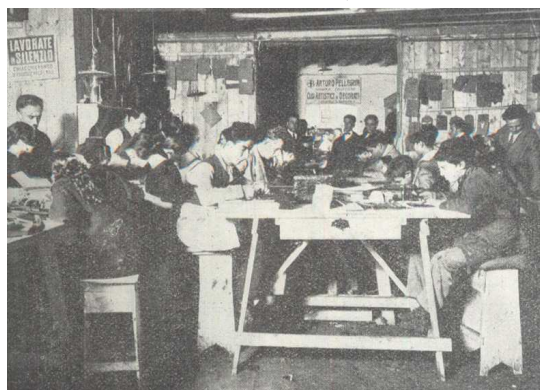
Niewiele zmieniło się od owych czasów. Zwiedzający może oglądać prasę ręczną z brązowymi matrycami, na której prapradziad właściciela firmy wyłaczał kunsztowne desenie.

Od stu lat nie zmieniano lokalu. Dziś prasa jest nieco większa, bardziej udoskonalona, ogrzewana gazem zamiast drewnem, ale stoi na tym samym fundamencie. Rozszerzono nieco magazyny, zainstalowano wentylację, oświetlenie elektryczne, poza tym wszystko pozostało na starym miejscu.

Wenecjanie są konserwatywni. Lubują się w pracy ręcznej, żmudnej, drobiazgowej i to ich zabezpiecza przed konkurencją cudzoziemską. Żadna maszyna nie zastąpi dłoni artysty, a Włosi są artystami z bożej łaski.

Nawet ten mały oberwaniec, którego charakterystyczna postać rzuca się w oczy na załączonej fotografii, choć paradytuje w podartych do niemożliwości butach, umie dobierać barwy i rozprowadzać cienkim pędzelkiem barwniki po skórze, tworząc rysunki podziwiane we wszystkich zakątkach świata.

Najtrudniejsze i najbardziej odpowiedzialne zadanie w wytwórni skór tłoczonych ma grawer.



<sup>1</sup> Autobusem wodnym – z włos.

Większe firmy zatrudniają po kilku takich specjalistów, w mniejszych jeden wystarcza.

Grawer musi być przede wszystkim dobrym rysownikiem, artystą w całym znaczeniu tego słowa. Nie wolno mu popełnić błędu. Małeńka skaza na matrycy, jedno niebaczne uderzenie młotkiem może uszkodzić mozolną pracę, a brąz jest kosztownym stopem.

Matryce rzeźbi się ręcznie w płytach grubości półtora centymetra. Są to niesłychanie subtelne bas-reliefy, w których motyw należy sobie wyobrazić odwrotnie. To, co na negatywie jest wklęsłe, na skórze otrzymuje się wypukłe.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę wymiary matryc, które dochodzą częstokroć do ośmiuset centymetrów kwadratowych, to zrozumiemy łatwo, ile pracy pochłonęło przygotowanie takiego negatywu i dlatego w cennikach sklepowych nie wspomniano o cenie. Nabywcami takich majstersztyków są przeważnie bogaci Amerykanie. Dolar drogi, liry tanie, potargować się warto.

Wyłaczanie odbywa się na gorąco. Ogrzaną do temperatury 70 stopni matrycę umieszcza robotnik w prasie i, nie zwlekając, podsuwa odcinek skóry. Ciśnienie reguluje dźwignia ręczna lub przyrząd automatyczny. Skóra nie może być zbyt sucha ani wilgotna, gdyż po pewnym czasie stałaby się łamliwa.

Po wyjęciu spod prasy egzemplarze „dojrzewają” przez kilka godzin, po czym majster bada je przy pomocy szkła powiększającego. Egzamin cenniejszych jednostek bywa wyjątkowo skrupulatny. Po ich zakwalifikowaniu do pracy przystępują malarze. Jest ich cały legion. Malują starzy, młodzi, chłopcy, dziewczęta. Stoły zastawione setkami miseczek z barwnikami. Gwar panuje nieustający, choć na ścianach wiszą tabliczki z napisem „Lavorare in silenzio” – pracuj w ciszy. Od czasu do czasu ktoś zanuci arię z jakiejś opery, a wtedy cała sala nagle wybucha chóralnym śpiewem. Rytm doskonały, podzielili się na głosy. Nawet pan dyrektor, który wywiesił tabliczkę z napomnieniem, nie może się powstrzymać i potężnym basem wtóruje robotnikom.

Szczegół godny uwagi. Wenecjanki, dumne ze swych wspaniałych włosów, zignorowały modę i czeszą się nadal jak przed laty.

– W mojej wytwórni – oświadcza p. Pellegrini – ani jedna panna nie obcięła sobie włosów. Były wprawdzie sporadyczne zachcianki, ale ogół pracowników nie dopuścił do czegoś podobnego.

Córeczka fabrykanta, grzeczna mała osóbką, nosi długie warkocze. Widzimy ją na zdjęciu. Trzyma na kolanach świeżo odcisnięty pozytyw, a obok, na stołku, widać brązową matrycę. Panna Pellegrini pracuje w malarni skór na równi z robotnicami. Zdradza duże zdolności rysunkowe.

Nie mniejszy gwar panuje w introligatori. Tu już trudno o nucenie pieśni. Stuk młotków wybije z taktu najlepszego śpiewaka. W ciemnej, dość skąpo oświetlonej żarówkami sali powstają ze skrawków skór tysiące przedziwnych cacek. Notesy, których szkoda nosić w kieszeni, przybory toaletowe, zastawy na biurka, serwety, poduszki, bombonierki, teczki, torebki damskie, ramki do obrazów, portmonetki, tabakierki, szkatułki, pudełeczka wszelakich kształtów i wielkości, medaliony, abażury, firanki, małe ołtarzyki w stylu bizantyjskim, a wszystko mieni się nieskończonością barw i motywów.



Liczne pokolenia pracowały, by otrzymać taki dorobek. Właściciel wytwórni chętnie prowadzi gościa do składu matryc. Stare, budzące szacunek zabytki. Pokryła je już śniedź, albowiem niektóre liczą po sto lat i więcej. Mimo to i dziś jeszcze bywają używane.

W Wenecji wszystko jest stare, nawet gmach, w którym mieści się wytwórnia, nosi nazwę „Palazzo Gritti”. Przed wiekami nie słychać tu było stuku młotków, lecz szcęk zbroi. Dumni rycerze, władcy mórz i dalekich lądów przechadzali się po komnatach pałacu, w którym teraz wre praca dla kawałka chleba. Zachowały się jeszcze monumentalne schody marmurowe, dziedziniec z mozaikową posadzką, resztki wodotrysku i witrażami przyćmione okna gotyckie.

W dawnej sali recepcyjnej mieści się obecnie magazyn. Ściany wyłożone masą izolacyjną, by zabezpieczyć towar od wilgoci. W Wenecji wilgoć jest największym wrogiem wszystkiego i wszystkich, wciska się do mieszkań, do sklepów, do fabryk. A wraz z nią kroczy febra. Dlatego dzieci tutejsze są blade, kobiety anemiczne.

W magazynie pracują stale dwaj ekspedytorzy, obsługujący klientelę amerykańską, na drugiej bowiem półkuli popyt na wyroby weneckie wzrasta z każdym rokiem. P. Pellegrini otrzymuje zamówienia na artykuły tak ekscentryczne, że częstokroć nie jest w stanie wykonać obstalunku.

W bieżącym sezonie pewnej damie amerykańskiej zachciało się rękawiczek z widokami Wenecji. Inna obstalowała parasolkę pokrytą skórą, a milioner chicagowski zamówił telegraficznie dywan skórzany.

Amerykanie nie dowierzają pośrednikom, dlatego też szanujący się bogacz woli wymienić kilka listów, czekać na wykonanie choćby pół roku, ale ma przynajmniej pewność, że towar jest autentyczny. Albowiem na rynkach ukazały się falsyfikaty. Podobno były one dziełem Japończyków, którzy pozwolili sobie na szereg śmiałych eksperymentów wobec goniących za rarytasami jankesów.

W sklepie weneckim nie znajdziemy parasolki skórzanej, dywanów ani rękawiczek, ponieważ fabrykanci uważają swe wyroby za przedmioty sztuki, a nie codziennego użytku. Dla zaspokojenia amerykańskiej próżności przyjmą obstalunek, ale też naznaczą odpowiednią cenę. Kogo stać na fantastyczne pomysły, ten niech płaci.

Godzina szósta. Panna Pellegrini pierwsza wstaje od stołu. Za nią podnoszą się pracownicy i biegną ku umywalniom. Nie ma żadnego porządku. Kto dobiegnie, ten chwytta kawałek pumeksu, odrobinę szarego mydła i szoruje dłonie bez litości. Nie tak łatwo zmyć grubą warstwę farby przeznaczonej do barwienia skóry.

Po zabiegach toaletowych część pracowników udaje się do domów pieszo, inni korzystają z vaporetek, wreszcie niewielka grupa wsiada do gondoli, która ich rozwiezie po sąsiednich wysepkach.

– Do zobaczenia, Arturze! – woła starsza kobieta, przyjaźnie skinąwszy ręką.

– To moja towarzyszka z ławy fabrycznej – tłumaczy p. Pellegrini. – Za młodu pracowałem na równi z robotnikami, dlatego jesteśmy na „ty”. Taki tu obyczaj. Moja córka otrzymuje zapłatę odpowiednią do wieku i zdolności. To samo będzie z synkiem, gdy podrośnie.

Twarda szkoła życia. Teraz staje się jasne, dlaczego weneckie fabryki i huty szklane nigdy nie bankrutują i nie zmieniają właścicieli.